

Curiosa naszego przemysłu wojennego.

Sądzimy, że w niczem nie osłabimy sympatii naszego czytelnika dla Francji, jeśli pozostawimy go z dala od aspiracji przemysłowców francuskich względem Polski. Pomiędzy, narazie, drogi, które mi potrafił on znacznie zniekształcić i opóźnić realizację planów organizacji naszego przemysłu wojennego. Być może wypadnie nam niejednokrotnie dotknąć tej drażliwej kwestii i roznieśliśmy po poszczególnych fragmentach zakulisowej gry. Pozostawiamy je wszakże chwilowo, na uboczu i przejdziemy do stwierdzenia szeregu faktów jaskrawo oświecających podstawy tego stosunku.

Już w 1919 roku Chambre Syndicale des Constructeurs des moteurs l'aviation w Paryżu uchwalała rezolucję o zgodnej eksploatacji Polski, wychodząc z założenia, że indywidualne w tym celu zabiegi poszczególnych fabrykantów wywołują wzajemną konkurencję, szkodliwą dla ogólnych interesów przemysłu swego kraju.

W tym też 1919 r. przybył do Warszawy przedstawiciel tej organizacji p. Saulnier z zamiarem zawarcia z rządem polskim oświadczenia kontraktów, decydujących o uzależnieniu naszego lotnictwa od przemysłu lotniczego francuskiego.

Z formalnego punktu widzenia ten plan syndykatu francuskiego nie został zrealizowany, a to ze względu na stanowczą decyzję Polski powołania do życia własnego przemysłu lotniczego. Poddając się tej decyzji p. Saulnier wystąpił z propozycją stworzenia francusko-polskiego towarzystwa dla produkcji aeroplanów i samochodów, w krótkim czasie, przy pomocy pp. W. Szrednickiego, I. Leskiego, P. Drzewieckiego, G. Wertheima, gen. W. Zagórskiego, L. Bobińskiego, L. Wellisa i M. Bilińskiego organizuje francusko-polskie zakłady samochodowe i lotnicze, t. zw. „Frankopol”, w celu „budowy i eksploatacji zakładów dla wyrobu samochodów i aeroplanów, motorów i innych maszyn, oraz środków przewozowych”, z kapitałem 300 milionów mkp.

Do rady zarządzającej zaproszeni zostają przedstawiciele przemysłowców francuskich; ze strony polskiej wybitniejsi przedstawiciele przemysłu, oraz posłowie i senatorowie. Znajdujemy tam więc pp.: p. S. Czerwotynskiego — członka sejmowej komisji budżetowej, senatora F. Adama, p. K. Hacie, senatora M. Szarskiego, W. Kościelskiego, G. Wertheima, gen. W. Zagórskiego i t. d. Ze sfer lewicowych dość czynnie, choć nieoficjalnie, współdziałał z „Frankopolem” senator Januszewski.

Po zawiązaniu się w 1920 roku, „Frankopol” otrzymał od rządu 700 tysięcy złotych polskich tytułem zaliczki na zamówienie. Przyszłym oświadczeniem kontrakt na budowę płatowców jest wzorem kurtuazji państwa względem ustosunkowanych kierowników spółki, nie nakładając na nich obowiązków przestrzegania jakichkolwiek bądź terminów wykonania zamówień, a przede wszystkim pozostawiając im swobodę sprowadzania „poszczególnych części” silników z Francji.

Pierwszy rok swej egzystencji „Frankopol” stracił na przekomercjalizowanie się z magistratem stolicy o placę pod budowę fabryki, żądając, najwidoczniej w celu przewlekania sprawy, terenów miejskich na Pradze przeznaczonych na rzeźnię. Wreszcie po roku zdecydowano przystąpić do budowy, wbrew ezie sztabu generalnego, w Okęciu na Ochocie tuż pod Warszawą, w trakcie budowy wzrastały a-

wanse rządowe, mimo iż do obecnej chwili „Frankopol” jest jeszcze bardzo daleki od ukończenia budowy fabryki, a tem więcej od wykonania kontraktu.

Mimo to przynosi on pokaźne zyski. Mniej więcej przed pół rokiem rząd widział się zmuszony, nie czekając na ukończenie fabryki w Okęciu, zamówić w fabryce francuskiej „Lorraine et Dietrich” 750 silników aeroplanowych za sumę 70 milionów franków. I oto pod naciskiem Chambre Syndicale des Constructeurs des moteurs d'aviation, „Lorraine et Dietrich” musieli „Frankopolowi” wypłacić, tytułem prowizji od otrzymania od Polski obstatunku, około 7 milionów franków.

Okazało się tedy oczywiście, że „Frankopol” jest niczem więcej, jak ekspozyturą syndykatu fabrykantów motorów lotniczych francuskich i że interes jego polega właśnie na tem, aby do samodzielnej produkcji nie przystępować. Co zaś szczególne rzuci światło na charakter i stosunki tej imprezy, to fakt, że kiedy firma „Lorraine et Dietrich” istotnie bardzo poważna, po doświadczeniu z prowizją dla „Frankopola” zwróciła się do naszego ministerstwa spraw wojskowych z propozycją otwarcia w Polsce swego oddziału, na wniosek szefa departamentu lotnictwa generała Leveque otrzymała, bez zbadania warunków oferty, odmowną odpowiedź, uмотywowaną tem, że wszystkie obstatunki otrzymał już „Frankopol”.

I w istocie, obecnie rozważany jest projekt dwóch nowych umów z tą, mającą kiedyś rozpocząć produkcję, fabryką:

1) na dostawę 750 silników za ogólną sumę 75 milionów franków, oraz

2) na dostawę w przeciągu lat 10 5.000 silników, które mają być rzeźbione całkowicie wykonane w Polsce. Ponadto „Frankopol” otrzymuje niezwłocznie 5 milionów franków pożyczki od rządu, na zakup maszyn we Francji.

Obydwa te projekty popierane są usilnie przez p. S. Czerwotynskiego z jednej, oraz senatora Januszewskiego z drugiej strony. Szefem zaś departamentu X przemysłu wojennego w M. S. W. jest gen. W. Zagórski, członek zarządu „Frankopola”. Departamentem lotnictwa kieruje francuski gen. Leveque, który tak ładnie uczył polską prasę patriotyzmu, ale nie potrafił „Plage i Łaskiewicza” nauczyć budować dobre aeroplany, a lotników dobrze na nich pilotować.

Kontrakty są zaiste lukratywne. 10 proc. od sumy 75 milionów wynosi 7 i pół miliona franków, którą to sumę zarządcy ekspozytury syndykatu francuskiego otrzymają za pośrednictwo przy sprowadzeniu z Francji 750 silników, zaś wykonanie zobowiązania na dostawę 5.000 silników w terminie 10-cioletnim nie jest zbyt śpieszne i również będzie niezawodnie zafatowane bez szkody dla interesów przemysłowców nadsekwanskich.

Trudniej natomiast byłoby ustalić, kto broni w całej aferze „Frankopola” interesów państwa i dzięki jakim protekcjom święci pełny triumf system jawnej korupcji, zabijający w zarodku przemysł wojenny?

Obok oryginalnych stosunków panujących w przemyśle lotniczym krajowym, który w osobie firm „Plage i Łaskiewicz” fabrykuje z dużym powodzeniem trumny latające mamy zatem jeszcze jedną afery z „Frankopolem”.

W. Stpiczyński.

Prof. de Haan, zamordowany w Jerozolimie.

Opinia prasy holenderskiej i angielskiej.

Gazeta holenderska „Algemeine Handelsblad”, której współpracownikiem był de Haan, zamieszcza w numerze z dnia 2 lipca ostatnią jego korespondencję z Palestyny pod tytułem „Symptomaty”. Przytem redakcja do daje od siebie:

„Z Jerozolimy otrzymaliśmy wiadomość wstrząsającą, że dr. J. L. de Haan, nasz korespondent palestyński, został zamordowany. Mordercy nie wykryto, a motywy mordu są nieznane. Zamordowany miał wielu wrogów w samej Palestynie i poza nią. Wykłady prawa w Jerozolimie musiał przerwać wskutek protestów studentów żydowskich. Naum Sokolow, który, w związku z jubileuszem sionistów w Amsterdamie, wychwalał działalność sionistów holenderskich w Palestynie, wyraźnie wyłączył z tych zasług pewną osobistość najwidoczniej d-ra de Haana.

Profesor Obbink pisze o nim: Gdy razem z d-re de Haanem spacerowaliśmy po ulicach Jerozolimy i zauważyłem, iż żydzi pili w stronę d-ra de Haana, rzekłem do:

Czyżby to chyba nie z uszanowania dla pana...

Na to odpowiedział de Haan:

Nie!... Czyżby to z uszanowania dla pana, bo gdybym był sam piliby mi prosto w twarz.

De Haan polecał w roku 1919 do Palestyny, jako zdeklarowany sionista. Rozczarowany stanem faktycznym rzeczy stał się zaciętym przeciwnikiem sionistów i występował z ciężkimi zarzutami przeciwko kierownictwu sionistycznemu, jak np.: że zebrane fundusze zużywa się niemal w całości na opłacanie urzędników, i że dopuszcza się do znieważania odpoczynku sobotniego. Głównie ścigał na siebie nienawiść przeciwników swoimi przyjaznymi stosunkami z liderami arabsów. Chętnie zawsze rozmawiał po arabsku i napisał wiele rzeczy, które mogły zaszkodzić sionizmowi, jako takiemu. Zachodzi jednak pytanie, czy to będzie korzystnem, że w Palestynie już się nie odezwie żaden głos przeciwko „sionizmowi”?

W oddzielnym artykule tego pisma podana jest ocena zasług literackich de Haana — jako jednego z najwybitniejszych poetów holenderskich. Autor podnosi również jego zasługi, jako prawnika, który w swoim czasie wykładał prawo w charakterze docenta w uniwersytecie amsterdamskim.

Londonijski „Daily Ekspres”, którego de Haan był stałym korespondentem, zamieszcza artykuł wstępny p. t.: „Nasz korespondent palestyński zamordowany”, w którym m. in. pisze:

„Wszystko wskazuje na to, że dokonany mord był dobrze przygotowany. Dr. de Haan wybrał się w tym tygodniu do Londynu, aby zaprzestować przeciwko planom przybyłego właśnie Sir Herberta Samuela, który chce ratyfikować ustawy o organizacji gmin żydowskich w Palestynie. Protest ten opierał się na tem, że zaprojektowana ustawa poddaje żydowską ortodoksję pod supremację sionistów”.

Jednocześnie gazeta komunikuje ostatnią depeszę de Haana z Jerozolimy. Głosi ona:

„Wiadomości telegraficzne z Ameryki potwierdzają, iż dochody funduszu sionistycznego w Ameryce w ostatnim miesiącu znacznie spadły, a budżet organizacji sionistycznej nie będzie miał pokrycia”.

Dnia 1-go lipca w Jerozolimie odbył się pogrzeb zamordowanego wodza ortodoksów „d-ra de Haana. Rząd palestyński, jako też egzekutywa sionistyczna w Palestynie przez swoich delegatów wyraziły rodzinie zmarłego ubolewanie.

Rabin Sonnenfeld, leader „Agudat Izrael” w Palestynie oraz H. Jakób Kon, tamtejszy konsul holenderski, wygłosili krótkie przemówienia nad grobem. Był też obecny sekretarz egzekutywy arabskiej w Palestynie.

SKAZANIE DZIENNIKARZA.

Z Bukaresztu donoszą: Dziennikarz radykalny Kocz ogłosił list otwarty do króla rumuńskiego, oświadczaając, że o ile nie dojdzie do zmiany rządu opinia publiczna przypisze królowi winę za wszystkie błędy czasów ostatnich. — Kocz pociągnięto do odpowiedzialności za obrażę majestatu i skazano na półtora roku więzienia. Są apelacyjny potwierdził wyrok.

Mar Saba, klasztor w przepaści.

Pod powyższym tytułem „Głos Prawdy” pisał:

Zdala od świata i jego wielkich dróg, w puszczy Juda, obok martwego morza leży klasztor grecki Mar Saba. Od chwili, gdy ujrzałem Mar Sabę podwójnie kocham życie.

Zycie i wolność.

Wyjechaliśmy z Betleem: Gunnar Sommerfeld, naczelnik duńskiej ekspedycji do Palestyny, sekretarz jego, ja i kilka arabsów skierowaliśmy się na zachód ku górom Benjamin.

Kołyaska Odkupiciela otoczona jest zielenią lasów oliwnych i owocowych sadów.

Ale po kilku minutach drogi rozpoczyna się pustka i występują pierwsze wzgórza.

Jeszcze gdzieś tam arab stara się wyrwać puszczę kęs ziemi, gdzieś tam widać drzewa, kawałek obsianego pola, ale to wszystko. Zaczyna się puszcza, puszcza piasku i kamieni. Piękno kamienia poznałem w dolomitach, majestat jego nad Atosem ale całe jego bogactwo barw i kształtów, całą wyrazistość jego ujrzałem dopiero w puszczy Juda.

Zaiste piękna jest puszcza a potęga jej i majestat są nieskończone.

Piękna jest olśniewająca białochwa wzgórz kredowych w promieniach południowego słońca, piękna w barwach zmięzchu i zachodu a najpiękniejsza — gdy ostatnie promienie słońca wydobywają z nich królowską purpurę i pyszny fiolet jakiego nie ujrysz nigdzie na świecie.

Ale jest to piękno istoty niepłodnej, która nie rodzi i nie tworzy.

Kraj ten jest martwy — pustynia...

Ale zrozumiecie mnie: w Palestynie niema puszczy zupełnie bezpłodnych (prócz dżun nadmorskich). I tu w puszczy Juda znajdziecie dosyć ziemi żyznej i przynoszącej plon. Chodzi tu o co innego.

Można się zbierać w puszczy Juda, ale nie można tam żyć. W porze deszczowej jest tam dosyć wody. Dosyć a być może za dużo.

Szalone potoki wody przebiegają wyschniętą łożyska rzek i wpadają do morza Martwego.

Biada temu, który w porze deszczowej idzie lub jedzie takim łożyskiem. Nagle spada na niego potop huczący, straszny i zatapia bez litości.

Parę minut dzieli tę obfitość od zupełnej suszy innej pory roku nie ma: albo potop albo też bezwodna pustynia, to są warunki życia w puszczy Juda.

Pomimo szlonych wprost ulew roczne opady nie wystarczają by zapewnić cysterny i rezerwoary na cały rok.

Głębokie koryta wyrte przed tysiącami lat przez pasterszy wysychają i człowiek ucieka. W zimie zaś i na wiosnę puszcza zieleni się i zakwita jak łąka.

Beduii wypędzają wtedy swe stada a arabowie orzą i sieją. Gdy wymijały takie pole, 4 przepiękne dziewczyny, opalone i czarnoookie ścinały sierpem kłosa i niosąc je w fałdach sukni wyszły colając się tyłem ze zboża.

Czy była to Rut?...

To były córki jej, które w tym zaczerpniętym kraju zbierały kłosa tak, jak trzy tysiące lat temu czyniła to Rut....

Dalej na wschód zaczynają się wzgórza. Wspinamy się po stromej ścieżce wśród złomów białej kredy, która nie daje życia.

Aż tu nagle wykwitają całe snopy ognistego maku, całe kłomby

gencjanu i dzikie gwoździki i łwie pyszczki i cudne błękitne kielichy jakiejś odmiany kaktusa.

To puszcza... puszcza gdy wiosna już umiera.

Zar pada z nieba i powietrze staje się coraz bardziej rozpalone.

Wypiliśmy już wszystką wodę i zjedliśmy wszystkie pomarańcze. Zaczynamy się niecierpliwie, gdy nagle powstaje przed nami góra w której ukryty jest klasztor Mar Saba.

Wadi en Nār, biblijna dolina Kedronu wrzyna się na jakie 150 metrów w bok górski.

Pomimo wąskości i głębokości tej doliny, słońce pali tu niemiłosiernie.

Powietrze stałoby się tu duszne nie do zniesienia, gdyby nie ostry chłodny wiatr, który przebiega do linki od rana do wieczora.

Bez tego wiatru życie byłoby tu nie do zniesienia.

Zycie? W głębiny 150 metrów, w skałę na puszczy Juda?

To też nie jest to życie.

To grób.

Stoi tu grecki klasztor. Zdala od kultury, zdala od Anglii i Europy i zdala od ludzi i ich zmiennych losów.

Klasztor w przepaści.

Niebardzo się znam na klasztorach, ale pomimo to twierdzą, że drugiego takiego klasztoru nie znajdzie nigdzie na świecie.

Zdaleka wydaje się jakby budynki klasztorne przylepione były do skały a cztery wieże czynią wrażenie karłów zagubionych wśród skalnych olbrzymów.

Ale zbliższa rzecz przedstawia się inaczej.

Klasztor stoi pośród przepaści a ciężki i wysoki mur chroni go przed rozbójnikami.

Rozbójnicy wszystkich stuleci zbierali tu swe łupy i klasztor posiada kilka barbarzyńsko malowanych obrazów przedstawiających cwo napady.

Zawsze byłem tego zdania, że życie klasztorne daje odpoczynek i spokój.

I nawet marzyłem nieraz, że po trudach życia wypocznę w klasztorze.

Ale tu w Mar Saba nie życzyłbym sobie nawet być pochowanym....

Co za przykre miejsce!

Kilkadziesiąt brudnych i dzikich mnichów waleśa się po klasztorze nie znając nawet jego historii.

Mniści ci, brudni, obdarci i bezczynni nie mogą nikogo zachęcić!

Wolałbym już zostać pustelnikiem i zamieszkać w jednej z jaskiń skalnych, w których żyło i umierało już tyle pokoleń pustelników, zaczynając od Eutymiusza a kończąc na uciekinierach z ostatniej wojny.

Wszystko tu dziwnie smutne i opuszczone.

Pustym jest grobowiec drugiego fundatora klasztoru św. Sabeusza, którego szczątki spoczywają we Włoszech.

Myśl moja odbiega od tych smutnych obrazów. Spieszę się i uciekam z tej pułapki nędzy i opuszczenia.

Marzę o tem, że za parę godzin będę już w Jerozolimie. Za parę godzin....

Parę godzin drogi i ujrzę wielkie miasto, tramwaje i auta, teatry i koncerty, ruch i zgiełk cywilizacji.

Zabieramy się do podróży i pozostawiamy za sobą ciasne mury klasztoru, przepaść i ukrytą w niej śmierć... Śmierć woli, myśli i siły.

Dr. Wolffgang Weiss.

Reaktywacja oficerów rezerwy.

Wobec wielkiego zainteresowania, jakie wśród kilkuset oficerów rezerwy służby gospodarzy, zatrzymanych w służbie czynnej, budzi sprawa ich reaktywacji, podajemy do wiadomości departament VII intendenta, ministerstwa spr. wojsk. na podstawie przedłożonych list kwalifikacyjnych tych oficerów, ułożył pięć grup i przedłożył je do sztabu generalnego z prośbą o przypięcie do reaktywowania grupy pierwszej.

py posiadają warunki do przemianowania na oficerów zawodowych, a grupa trzecia i czwarta nie posiadają wszystkich warunków do przemianowania.

Ogółem 321 oficerów gospodarzy czeka na reaktywację, której sfinalizowanie zależne jest od tego, w jakiej liczbie ostatecznie ustalone zostaną etaty nowej organizacji pokojowej wojska. Sprawa ta jest obecnie w opracowaniu.

CO DZIEŃ NIESIE?

LIPIEC

14

Poniedziałek

Dziś: Bonawentury.
Jutro: Henryka ces.Wschód s. o g. 5.52
Zachód s. o g. 7.51
Wschód ks. 5.55 pp.
Zachód ks. 2.59 pn
Dług. dnia 16 g. 2.5m.
Ubyło dnia 0 g. 24 m.**Biblioteka Publiczna**, ul. Andrzeja 14. Otwarta w dni powszednie od godz. 3 — 9 wiecz.**Miejska galerja sztuki**, park im. Sienkiewicza wystawa malarstwa, rzeźby, grafiki i zdobnictwa polskiego, otwarta od 10 r. do 8 w.**Czytelnia „Tow. przyjaciół Francji”**, ul. Piotrkowska 103, otwarta codziennie z wyjątkiem piątków od 6—8 wiecz.

Dzisiejsze widowiska:

Teatr Miejski
w parku Staszica:
„Peg moje serce”.**Teatr letni „Scala”** w ogródku Variete. Program nr. 3.**„Casino”**:
„Apasza z Paryża”.**„Luna”**:
„Młody Maharadża”.**„Odeon”**:
„Romans księżniczki de Valois”.**„Grand - Kino”**:
„Zakazane miasto”.**Kino współdz. pracown. państwowych**:
„Dzieci Karnawału”.**Dr. S. Kantor**Specjalista chorób
wenerycznych skór
nych i włosów w.
ul. Piotrkowska 144
róg Bawogosteków.
Godz. przyjęcia: od 8-2
p-n. w. Dł. p-ni. 5-6
C85-3-2**KOSZULE**w wielkim wyborze
kołnierze, kra-
waty, skarpetki
jak również wszelkie
artykuły mody męskiej
poleca
K. Petersilge
98 Piotrkowska 98

Gdzie jadać obiady?

W czasie lata, gdy rodziny przeważnie wyjeżdżają na letniska i do miejscowości kuracyjnych, a osamotnieni mężczyźni pozostają w Łodzi, powstaje trudna kwestja: Gdzie dostać niedrogie obiady, któreby przytem były smaczne i dla zdrowia bezpieczne?

Ludzie przerzucają się wciąż z jednej restauracji do drugiej i całe lato są niezadowoleni. Wyjątek stanowią ci, którzy jadają obiady w „Teatralnej”. Otrzymują tam obiad z 4 wykwinnych dań za 2 złote i 20 groszy, a nie było jeszcze ani jednego wypadku, aby ktoś się na ilość, lub jakość potraw uskarżał. Kto raz zjadł obiad w „Teatralnej”, temu nawet na myśl nie przyjdzie próbować w innej restauracji.

Wypadki.

DZIECI BEZ OPIEKI.

Kazimierz Król, syn robotnika, zam. przy ul. Wysokiej nr. 16, został uderzony kamieniem w parku 3-go Maja. Lekarz pogotowia odwoził go do szpitala Anny Marji.

NAGŁY ZGON.

Wojciech Łuczak, zam. przy ul. Brzezińskiej nr. 78, zmarł nagle na ulicy Sikawskiej róg Brzezińskiej. Przy zwłokach wystawiono posterunek do przybycia władz lekarskich.

POKASANA PRZES PSA.

Helena Ciupińska, córka kolejarza, zam. przy ul. Karolewskiej 29, została pokasana przez psa. Pomocy udzielił jej lekarz pogotowia.

Sytuacja w przemyśle.

Szewioty półwełniane.—Absurdy repartycji Kredytów.

W ostatnich czasach słyszy się go nie powiększając swych składów.

Zakupy są czynione przeważnie przez kupców galicyjskich za gotówkę a znawcy twierdzą, że większość dolarów, którymi ci nabywcy placą, jest pochodzenia sowieckiego, że więc rynek rosyjski, a w każdym razie pograniczny, wchłania trochę łódzkich towarów. Wynikałoby stąd, że jednak, wbrew uzasadnionemu pesymizmowi, jeśli idzie o obroty na wielką, przedwojenną skalę, przydałby się traktat handlowy z Rosją, regulujący i ułatwiający przynajmniej ten eksport, który się przez kolorową granicę odbywa.

Ciekawe są szczegóły repartycji kredytów rządowych, przyznanych przemysłowi łódzkiemu. Podobno z ogólnej sumy min. zakłady Scheiblera i Grohmana otrzymały półtora miliona złotych, Gajera — milion złotych, a Poznańskiego... 50 tysięcy złotych.

Ani na chwilę nie mamy zamiaru stawać w obronie tow. akcyjn. „I. K. Poznański”, firmy prowadzonej już od dłuższego czasu bez najmniejszego pojęcia, bez wysiłku i należytej oceny sytuacji. Rozumiemy w zupełności, że przy podziale kredytów faworyzowano te przedsiębiorstwa, które starają się, by fabryki ich były uruchomione jaknajwiększą ilość dni w tygodniu i zatrudniały jaknajwięcej robotników, ale nawet po uwzględnieniu tych wszystkich zasad suma 50 tysięcy złotych dla akc. tow. „I. K. Poznański” brzmi conajmniej karykaturalnie. Nie wolno jednak zapominać o tem, że fabryka ta zatrudnia kilka tysięcy ludzi i że takie błędne posunięcia ze strony rządu mogą tym kilku tysiącom robotników poważnie zaszkodzić.

Co się tyczy dokonywanych transakcji, są to wyłącznie zakupy z ręki do ręki, na potrzeby chwili, co chyba najlepiej dowodzi, że sfery kupieckie nie widzą w najbliższym czasie możliwości poprawy i dlate-

go nie powiększając swych składów.

Zakupy są czynione przeważnie przez kupców galicyjskich za gotówkę a znawcy twierdzą, że większość dolarów, którymi ci nabywcy placą, jest pochodzenia sowieckiego, że więc rynek rosyjski, a w każdym razie pograniczny, wchłania trochę łódzkich towarów. Wynikałoby stąd, że jednak, wbrew uzasadnionemu pesymizmowi, jeśli idzie o obroty na wielką, przedwojenną skalę, przydałby się traktat handlowy z Rosją, regulujący i ułatwiający przynajmniej ten eksport, który się przez kolorową granicę odbywa.

Ciekawe są szczegóły repartycji kredytów rządowych, przyznanych przemysłowi łódzkiemu. Podobno z ogólnej sumy min. zakłady Scheiblera i Grohmana otrzymały półtora miliona złotych, Gajera — milion złotych, a Poznańskiego... 50 tysięcy złotych.

Ani na chwilę nie mamy zamiaru stawać w obronie tow. akcyjn. „I. K. Poznański”, firmy prowadzonej już od dłuższego czasu bez najmniejszego pojęcia, bez wysiłku i należytej oceny sytuacji. Rozumiemy w zupełności, że przy podziale kredytów faworyzowano te przedsiębiorstwa, które starają się, by fabryki ich były uruchomione jaknajwiększą ilość dni w tygodniu i zatrudniały jaknajwięcej robotników, ale nawet po uwzględnieniu tych wszystkich zasad suma 50 tysięcy złotych dla akc. tow. „I. K. Poznański” brzmi conajmniej karykaturalnie. Nie wolno jednak zapominać o tem, że fabryka ta zatrudnia kilka tysięcy ludzi i że takie błędne posunięcia ze strony rządu mogą tym kilku tysiącom robotników poważnie zaszkodzić.

Observer.

MIASTO NAOPAK.

W Łodzi robi się wiele rzeczy naopak. Takie to już dziwne miasto.

Na całym bożym świecie otwierają się okna w lecie po zachodzie słońca, aby odetchnąć po upalnym dniu. W Łodzi, o tej porze zamyka się je starannie, otwiera się zaś... ścielące asenizacyjne.

Sadzenie się na oryginalność przebiega swe wszystkim.

Gdzieindziej chodzi się po tro-tuarach — tutaj inna moda: uprawia się turystykę czy też alpinizm.

W zwykłych normalnych miastach komunikacja tramwajowa istnieje dla wygody mieszkańców — tutaj jest środkiem pedagogicznym, który zmierza do wychowania ludności w zasadach bo-żojnego wysiadania przy ko-

minku familijnym już od godziny 9 wieczorem.

W Ryczywole, Pikutkowie, a także w Kulu - Lumba (na Złotem wybrzeżu) księżyc rozprasza mroki nocne — tutaj księżyc czyni to samo z mniejszym powodzeniem.

Gdzieindziej dworce kolejowe służą dla przyjazdu i wyjazdu podróżnych — tutaj dla gimastyki szwedzkiej, boksu i lekkiej atletyki.

W krajach i miastach zacofanych czyste powietrze jest cennym i pilnowanym skarbem — tutaj co dom to inny smród.

Gdzieindziej do rozmowy wystarczają usta — tutaj nawet ręce nie są dostatecznym akompaniamentem. słów.

Trójka.

Wobec groźby pożarów na prowincji.

Obecne lato, gorące i suche, a z nim okres największej upalności wysuwają konieczność zwrócenia uwagi najszerzego ogółu na groźbę pożaru na prowincjach.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że obecnie stosowana przez polską dyрекcję wzajemnych ubezpieczeń relacja dla ubezpieczeń ludowi stanowi 60 proc. wysokości przedwojennej i, że, wobec małego uświadomienia ludności, wszelkie ruchomości są przeważnie nieubezpieczone, musimy

przyjść do wniosku, że każdy pożar jest poważną klęską, którą nietylko dotkliwie odczuwa pogroźlec, ale która powoduje wydatny uszczerbek w ogólnym dobroku narodowym.

To też ludność winna przedsięwziąć w swoim własnym interesie wszelkie środki ostrożności, a władze administracyjne i samorządowe, a więc: starostwa, wydziały powiatowe i magistraty w imię dobra interesu ogółu winny wydać odpowiednie zarządzenia w sprawie powyższej.

Życie i sąd.

FELJETONIK SĄDOWY.

„SZAJA”.

Do wszystkich oklepanych już rodzajów towarów manufakturowych, wszelkich bostonów, gabardin, welurów i innych wilsonów, przybył nowy gatunek o poetycznej nazwie „szaja”.

Pochodzenie tego towaru jest bardzo skomplikowane.

Fabrykuje go się bowiem z różnych najgorszego rodzaju odpadków fabrycznych, zakupywanych — nota bene — za bezcen, najlżejszych szmat, dostarczanych przez pionierów przemysłu podwórkowo-porcelanowego i temu podobnych „surowców”.

Towar ten cieszy się największym popytem wśród kupców z bał staromiejskich.

Handlarze tym towarem wtajemniczeni zwa je „dofionami” — mają nieskomplikowane hasło: zdobyć maksimum zarobku przy minimum wkładu i zachodu.

Oto jeden z ich sposobów:

Gdy któremu z takich „handlarzy” nie udaje się wzmóc kupcowi lichej „szaj” za bezcenne wygórowaną cenę, przychodzi mu z pomocą jego współnik, a czyni to w ten sposób że jako przypadkowo niby przechodzący kupiec, ofiaruje za towar o wiele wyższą cenę od żądanej.

Pierwszy kupujący, słysząc to, zgadza się czempredziej na żadaną poprzednio sumę.

W powyższy sposób został oszukany pewien obywatel Poznania, pan Karol K., który jednak połapał się w sytuacji i, przywoławszy policjanta, kazał aresztować sprytnych oszustów.

Sprawa znalazła się na wokandzie sądu pokoju.

Sędzia z braku dowodów Jankla Fajwusia i Chaima Liszyca uniewinnił.

Seg

Machinacje Ingstera w świetle wyroku sądowego.

Obecnie gdy nastąpiła stabilizacja walutowa, gdy siła rzeczy wszelkie „luftgeszefty” przestały mieć rację bytu, możemy ocenić, w jak zgnitych warunkach pracował nasz odradzający się handel i przemysł.

Najlepszym symptomatem owych nienormalnych warunków było powstanie w iście amerykańskim tempie, wszelkich banków, towarzystw i spółek.

W związku z aferą — towarzystwo zachodnie — Ingster, która jest przyczynkiem do charakterystyki powojennych stosunków, zwróciliśmy się do jednego z poważnie poszkodowanych w tej sprawie, który udzielił nam niektórych wyjaśnień.

Zachodnie towarzystwo dla handlu i przemysłu istnieje już od kilku lat, lecz zarejestrowane zostało dopiero w lutym b. r.

Założycielami tego przedsiębiorstwa byli pp. Gordowscy vel Goldmanowie.

Po otwarciu oddziału łódzkiego towarzystwa został mianowany na stanowisko dyrektora i

zupełnego pełnomocnika p. Adolf Ingster.

Jak wszelkie inne, musiało i to towarzystwo świetnie się rozwijać przy ustawicznej dewaluacji marki polskiej.

Mimo szerokiej działalności towarzystwa, jak prowadzenie biur technicznych, włókienniczych i ekspedycyjnych, głównym źródłem zarobkowania w okresie inflacyjnym były spekulacje weksłowe, prowadzone oczywiście po za plecami założycieli, poważanych bankowców, przez Ingstera.

Ingster oddawał do dyskonta weksle towarzystwa, nietylko w instytucjach bankowych, lecz przeważnie prywatnie, oczywiście na bardzo wysokie procenty.

Za otrzymane zaś z dyskonta pieniądze p. Ingster zakupywał towary, które do dnia płatności weksli zwykowały o 100 i więcej procent.

Niespodziewana stabilizacja pieniądza polskiego, położyła kres wszelkim tego rodzaju interesom.

Towarzystwo, po wykupieniu wielu z swoich weksli, doszło do wniosku, że reszty swych zobowiązań w drodze zwykłej pokryć nie będzie mogło, a że zresztą nie posiada obowiązku pokrywania machinacji Ingstera.

W owym czasie, to jest mniej więcej przed trzema miesiącami stopa dyskontowa w bankach była bardzo niska, jednakowoż Ingster poważniejszych ilości weksli w bankach nie dyskontował, natomiast wszelkie transakcje przeprowadzał z osobami prywatnymi, placąc po 7—8 proc. (co było najwyższą stopą dyskontową).

Gdy ilość dyskontowanych weksli urosła do maksimum, nagle miasto dowiedziało się o ucieczce Ingstera.

Na skutek wstrzymania się z pokrywaniem i honorowaniem przesadzonych „transzakcji” defraudanta, powstały spory sądowe. Wtych dniach jeden z tych sporów był przedmiotem rozpraw w tutejszym sądzie.

Na przewodzie sądowym towarzystwo tłumaczyło się, że weksle, podpisane przez Ingstera w ostatnich dniach jego urzędowania, nie były wzięte w rachubę.

Sąd przychylił się do wywodów towarzystwa, odrzucając tym samym podejrzenia wierzycieli, którzy sądzą, że ucieczka oraz rzekome malwersacje Ingstera są tylko upozorowaniem niemożności płatniczej towarzystwa zachodniego.

Dalsze sprawy, które sąd będzie jeszcze rozpatrywał (Kantor, Likiermar i Kaferman i inni) rozświełają niektóre ciemne punkty afery.

Ogólna suma, na jaką zostało wielu (około dwudziestu pięciu) przemysłowców i dyskonterów poszkodowanych, dochodzi do 60 tysięcy dolarów.

Poszkodowani, niezadowoleni z wyroku, o którym mowa powyżej, postanowili wnieść apelację do sądu w Warszawie.

Kolonje letnie T. U. R.

Zarząd główny T. U. R. urządzi 2 - tygodniowe kolonje letnie nad Bałtykiem. Kolonje rozpoczynają się w 3-ich terminach: 15-go lipca, 1 sierpnia i 15 sierpnia. Koszta wynoszą będą: bilet kolejowy (18 zł.) i trzy zł. dziennie za utrzymanie, mieszkanie i inne usługi kolonji. Mieszkać uczestnicy kolonji będą w namiotach. U-

rzadzając kolonje zarząd gł. chce dać proletariatu możliwość skorzystania przy małych kosztach z takiego odpoczynku, z jakiego korzystali dotąd jedynie sfery za-możne. Na kolonji poza kąpielami będą urządzone wycieczki na wybrzeże morskie. Przewodzący sekr. T. U. R. codz. od 7.30 — 8.30 wiecz.

Walka z demoralizacją.

Ostatnimi czasami w sprzedaży ulicznej ukazał się szereg wydawnictw bardzo ujemnie wpływających na młodzież. Jak nas informują, władze administracyjne zwróciły się do czynników rządowych, w szczególności zaś do ministerstwa pracy i opieki społecznej oraz spraw wewn. w sprawie

ustalenia sposobu walki w drodze administracyjnej z szerzoną demoralizacją.

Chodzi tu o możliwość oparcia się na ustawie o opiece społecznej, jak również o uzupełnienie pewnych luk, stojących na przeszkodzie w walce z demoralizacją.

Scala-Varieté

w ogrodzie.

Dziś 9 wiecz.

Benefis

Kamińskiej i Gronowskiego

worek ostatni

Nr. 3. Ceny od 1.50 do 5 zł.

Zemsta Boga gór.

Ostatni akt dramatu na górze Everest. — Koniec Mallory'ego i Irvine'a.

O niesłychanych męczenniczych przejściach, na jakie narażeni są bohaterzy podróży, wspinając się na szczyty Mont Everest, daje wyobrażenie obszerny raport pułkownika Norton. Raport ten nusił on dyktować, gdyż nawiadła go nagła ślepotę, t. zw. śnieżna i przez 60 godzin przy dotkliwych bólach oczu nie widział absolutnie nic.

Było to w obozie trzecim, położonym na górze niedostępnej tej góry na wysokości 21 stóp. Do tego obozu przyprowadzili go po śniegu i lodowcach, a częściowo przynieśli na rękach towarzysze jego i dwaj tragarze.

Z tego to punktu przedsięwzięli podróżnicy kilka wypraw w górę, które wszakże nie udały się, a ostatnia wyprawa kosztowała życie dwóch jej uczestników pp. Mallory'ego i Irvine'a. W dwóch wypadkach odważyli się oni wdążyć w tak wysoką strefę bez aparatów tlenowych, aby uwolnić się od ciężaru.

Gdy Norton wnoczy 4 czerwca powrócił do obozu czwartego i wyrzekł się wszelkiej nadziei ponownienia wyprawy w wyższe, dowiedział się ku wielkiemu zdumieniu, że Mallory postanowił raz jeszcze podjąć ostatnią próbę doarcia na szczyt Mont Everest, i to bezwzględnie, z aparatami ułatwiającymi oddychanie. Mr. Bruce, któremu stan serca nie pozwolił towarzyszyć Mallory'emu, udał się niżej, do obozu trzeciego w celu zwerbowania tragarzy, którzy podjęliby się dźwigać te aparaty dla Mallory'ego.

W tej tak tragicznie zakończonej wyprawie miał brać udział tylko Mallory i Irvine. I w istocie rankiem dnia 6 czerwca ruszyli oni wraz z 8 tragarzami z obozu piątego w górę, chcąc najbliższą noc spędzić w obozie szóstym a potem natychmiast wspiąć się na sam szczyt.

Co przelżyli dwaj ci bohaterzy turyści, których imię zapisane będzie na wieki w dziejach walki człowieka z przyrodą, pozostanie na zawsze tajemnicą. Coś nieoczekiwanie o nich jeden z ich tragarzy, który zawrócił w drodze.

Zrazu wyprawa ta postępowala raźnie i dotarła do obozu szóstego, z którego w dość szybkim tempie poczęła posuwać się w górę.

Ow tragarz widział Mallory'ego jeszcze na wysokości 28 stóp czyli w odległości już tylko tysiąca stóp od szczytu góry, zaczem stracił go z oczu. Odtąd też zginął ślad tej ekspedycji.

Z początku nikt się o Mallory'ego nie kłopotał, gdyż mógł on być zatrzymany się dłużej w obozie szóstym lub piątym. Jednakże gdy nazajutrz nie było znaku życia z jego strony, rozpoczęto poszukiwania. A gdy nie dały one wyników, wywnioskowano, że uczestnicy tej wyprawy ponieśli tam śmierć.

Nawyższych tych nie może nikt istnieć dwa dni, jeśli nie ma z sobą tyle żywności, ile ma jej w obozie. Nie można było przeto przedłużać poszukiwań ponad dwa dni, zwłaszcza, że prognozyły burzy zniewalały do odwrotu. Dłuższy pobyt na tych wyżynach byłby przyniósł nieobliczalne straty w ludziach.

Dnia 10 czerwca tragarz dotarł do obozu szóstego i zakomunikował, że nie znalazł on najmniejszego śladu Mallory'ego i Irvine'a. Posiadali oni przy sobie znaczny zapas magnezyum, aby w danym razie dawać sygnał. A ponieważ takiego sygnału nie dali, poczytano to za dowód ich śmierci. Jak zginęli? Jedynego wytłumaczenia katastrofy, jakiej padli ofiarą, szukać można w tem, że zdarzył się im jakiś nieprzewidywany wypadek turystyczny i dosięgnęła fatalność. Być może, że przestali funkcjonować aparaty tlenowe, a podróżnicy nie mieli możliwości naprawienia ich i nie mieli sił do podjęcia drogi powrotnej. Pogoda sprzyiała im i z tej strony nie zagrożano im niebezpieczeństwem...

Niebosiężny Mont Everest broni się niby potężna forteca i zabiera ofiary w ludziach. Na razie zwyciężył i, zdaje się, że w tym roku nikt z uczestników tej wyprawy nie odważy się na zdobywanie tej góry. Lecz duch zwycięstwa jednak materję. Podpułkownik Norton nie rozpacza. „To koniec pierwszej walnej próby, mówi, jesteśmy strapieni, ale dalecy od tego, abyśmy mieli być pobici. Gdyby sprzyiała nam taka pogoda jak w roku 1922, nie nie stałoby nam na przeszkodzie w doprowadzeniu naszego planu do pomyślnego zakończenia i zdobycia Everestu”.

MILJONOWA ARMIA SOW.

Angielski podsekretarz stanu w ministerstwie wojny major Attley oświadczył na podstawie raportów angielskiego wydziału wywiadowczego (Intelligence Branch), sztabu generalnego, że obecny stan sowieckiej armji wynosi 1,003,000 ludzi. Bronszejn-Trocki wpadł z tego powodu w furję i oskarżył majora Attleya o rozmyślne wprowadzenie w błąd opinii świata. Bronszejn twierdzi, że w dn. 1 czerwca b. r. miał tylko 562,967 żołnierzy, jakkolwiek pod koniec roku 1920 (to jest po zupełnym rozbiciu armji sowieckiej w Polsce) miał ich jakoby jeszcze 5,300,000.

Głośny podpułkownik Repington w odpowiedzi Bronszejnowi stwierdza, że fasada armji czerwonej jest ogromna (formidable). Corocznie powoływanych jest pod broń 800,000 ludzi, obowiązek powszechnej służby wojskowej trwa od 20 do 40 roku życia, młodzież już od 16 roku życia poddawana jest specjalnemu wyszkoleniu. Armia składa się z 17 korpusów armji o 52 dywizjach, łącznie z dywizją transkaukaską; kawalerja liczy 10 dywizji. Nadto armja rozporządza rezerwą artylerji, złożoną z ciężkiej artylerji czasów carskich, i licznych jednostek saperów, tanków i aeroplanów. Przemysł wojskowy i służba administracyjna zatrudniają liczne zastępy ludzi.

Po za regularną armją, sowieci rozporządzają wojskiem policyjnym czełki, liczącym 120,000 ludzi i służącym w znacznej części na granicach. Rezerwe zbrojną, stojącą po za tą siłą policyjną, oblicza się na 200,000 ludzi milicji specjalnej, zorganizowanej w pułki, bataliony, kompanie i baterje. Wojska te są bodaj więcej warte, niż t. zw. regularna siła. Co do tej regularnej siły w roku 1921 liczyła ona 70 dywizji piechoty i 20 dywizji kawalerji. Dywizja liczyła po 5,000 ludzi i 24 dział, graniczne dywizje były silniejsze niż inne.

Liczyb angielskiego sztabu generalnego są więc ściśle. Rzecz znamienna, że według tych liczb — armja Finlandji, Estonji, Litwy, Litwy i Polski przedstawiają się 300,000 ludzi przeciwko milionowi wojsk sowieckich. Byłoby to zupełnie groźne, gdyby nie to, że, jak stwierdza Repington, wojsko sowieckie zawiera mnóstwo

połowicywczonych i niewycwiczo-nych ludzi z różnorodnego motłochu (heterogeneous mob.). Moje pojęcie o armji sowieckiej — pisze Repington — jest takie, że zupełnie zgubił polityczne warunki beznadziejne finanse i niekompetencja niedająca się opisać doprowadziły tę armję na bardzo niski poziom ku dużemu dobru reszty Europy i Azji.

Redukcje, które nastąpiły po roku 1921, nie zostały wywołane przez jakąś dobrą wolę, albo pokojowe intencje rządu sowieckiego, bo nikt bardziej od Trockiego nie apostołował rzezi na Wschodzie i Zachodzie. Wywołane one zostały przez brak środków do prowadzenia zdeklarowanej polityki. Gdyby środki do zakłócenia pokoju zostały kiedykolwiek przywrócone unji sowieckiej, to polityka byłaby odnowiona.

Repington pod koniec swego artykułu wyszydza ścisłość, z jaką Bronszejn podaje co do jednego żołnierza ilość wojsk sowieckich 562,967 w dniu 1 czerwca b. r. — łącznie z 5-tą armją w Syberji i zaznacza, że tak dokładne daty sił zbrojnych Wielkiej Brytanji mogą być zestawione zaledwie po dwóch latach od wskazanego dnia. Przypomina to ucznia w chajderze, któremu profesor kazał obliczyć ziarnka garści piasku.

Na szerokim świecie.

BANDYCI DOSKONAŁĄ SWOJE RZEMIOSŁO.

Na kolei Chicago, pomiędzy Milwaukee i St. Louis bandyci zatrzymali pociąg i otoczyli wagon pocztowy w którym wieszono listy z przesyłkami pieniężnymi na sumę około półtrzecia miliona dolarów. Wagon strzegło 70-ciu uzbrojonych żołnierzy, bandyci jednak użyczyli nadzwyczaj silnych gazów trujących. Odebrali przytomność strażnikom, sterorwzowali podróżnych, zabrali olbrzymi łup i zbiegli.

W Londynie zaś wylamywacze ogolocili zbory lady Ludlow, wdowy po Julianie Werterze, połudnowo-afrykańskim „królu diamentowym”. Skradziono beczenne klejnoty starożytne ze złota, srebra i drogich kamieni, wartości realnej co najmniej milion funtów sterling. Złodzieje dokonali rabunku w rekwizytkach oraz mając na nogach specjalne buty z materiału watowego, zacierającego odciski stóp. W obu wypadkach zaszły dnia 13

sku — i który wzięwszy na serio ten rozkaz, wyliczył je od razu na 562,967. Niech profesor sprawdza!

OPILSTWO.

W jednym z ostatnich numerów „Lwiestji” ubolewa Lebediew nad przerażającym szerzeniem się alkoholizmu w Rosji.

„W walce z analfabetyzmem i barbarzyństwem zapominamy, że najważniejszym naszym zadaniem powinno być tepienie pijaństwa” — pisze Lebediew. Objechał on niedawno kilkanaście wsi rosyjskich i prawie w każdej chałupie znalazł prymitywny aparat do pedzenia tak zwanej „samogonki”. Z miast pijaństwo najbardziej daje się we znaki Tweri; robotnicy zwykle w jeden dzień wypijają porcję wydaną ciężko pracującym na cały miesiąc. Pozostałe dni piją ohydna samogonkę. Piją ją wszyscy: mężczyźni, kobiety, dzieci. Większość robotników od rana jest już nietrzeźwa. W roku ubiegłym w Saratowie zamknięto 500 potajemnych gorzelni i aresztowano za uprawianie tego procederu 6.700 osób.

Lebediew apeluje gorąco do członków partji, wzywa do surowych kar na pijaków, do propagowania antyalkoholowej w szkółach i podżas zebrań ludowych. Skarży się również, że władze nie zdają sobie sprawy z potęgi groźnego wroga ludu — wódki.

SZEWEC SKAZANY ZA CIASNE OBUWIE.

Urzędnik londyńskiej komory celnej, Mac Body, wystąpił do sądu ze skargą przeciwko szewcowi Feer Langemu, o odszkodowanie, z powodu kalektwa, jakiego się nabawił, używając jego obuwia. Po zwany napróżno się tłumaczył, iż na żądanie klienta wykonał obuwie niestosowne dla jego stóp, t. j. wąskie gdy oskarżyciel ma stopy szerokie.

Eksperci przed sąd powołani oboje zarówny kwestionowane buty jak i stopy M. B. pokryte guzami, wymagającymi długiej i kosztownej kuracji. Sędzia skazał szewca na zapłacenie okaleczonemu odszkodowania. Uzasadnił to wprowadzami, że szewc nie obeznany z anatomją stóp klienta, nie może się powodować jedynie wy- maganiami mody.

Teatr Scala

Prze dotatni występ irakowskiej operetki „Nowości” Dziś 8.45 w.

Madame POMPADOUR

Operetka w 3-ach aktach Leo Falla.

MARJA CZERNEKÓWNA

Bilety od 1,50 do 8 zł. w kasie teatru.

JACK LONDON.

Złoty zar.

Lon Mac Fane był tego dnia w złym humorze.

Domysliłem się tego, gdyż zgubił w drodze swą torebkę do tabaki. Gdyby się tak nie było stało, byłby mnie z pewnością powiadomił o wszystkim po przybyciu do chatki nad jeziorem.

Przez cały dzień sami ciągnęliśmy sanie, żeby wygładzić drogę dla psów. Jest to trudna praca, która wcale nie skłania do gadatliwości.

Ale Mac Fane gdyby był chciał mógłby był znaleźć chwilę do-godną dla rozmowy, gdyśmy w po-ludnie przygotowywali sobie ka-wę.

Nie uczynił tego jednak.

Też też jezioro, o którym wie-działem, nie było dla mnie niespo-dzianką. Natomiast zdziwiła mnie chatka, o której nigdy dotych-czas nie słyszałem.

Potem był porządnie znużony i z nieskłonieniem czekałem chwili, gdy Mac Fane zdradzi się z wła-wnym swym zmęczeniem i po-zwoli na odpoczynek. Ale czeka-łem, gdyż nie chciałem mu się wy-dać mniej wytrwałym niż on sam.

Dodam, że Lon Mac Fane był tylko moim służącym. Przyjałem go na służbę, by mi prowadził psy i był posłuszny moim rozkazom.

Szliśmy tak oboje milcząc i w złych humorach.

Nagle ukazała się chata. We-drowaliśmy od ośmiu dni, nie spo-tykając żywej duszy. I należało się spodziewać, że i w przyszłym tygodniu będzie tak samo.

A tu nagle, jakby z pod ziemi wyrosła chata!

Przez okienko jej widać było światło, a z komina wydobywał się dym!

Spytałem więc Mac Fane'a:

— Dlaczego mi nic nie powie-działeś?

Ale on przerwał mi:

— Tak, to jest to nowe jezioro! Mała rzeczka karmi je swojemi wodami. Właśnie nie jest to je-zioro tylko staw.

Odrzekłem:

— Tak, tak, wiem. Ale nie cho-dzi mi o jezioro. Powiedz, kto mieszka w chatce?

— Kobieta!

Po chwili Mac Fane pukał do drzwi i głos kobiecy zawołał:

— Proszę wejść!

Drzwi się otwarły i kobieta spy-tała:

— Czy widziałeś ostatnio Dave'a?

— Widziałem go już dosyć daw-no — odrzekł Mac Fane. — Przycho-dzę z zupełnie innej strony, z Circle City. A Dave znaj-duje się w okolicy Dawsonu?

Kobieta skinęła głową, a Mac Fane począł odwiązywać psy, gdy ja przenosiłem całą uprząż do chaty.

Chata zawierała tylko jedną izbę, urządzonej w ten sposób, że można było wnioskować, iż ko-bieta mieszka tu sama.

Na kominie bulgotała woda i Lon zabrał się do przygotowywa-nia kolacji.

Ja znów otworzyłem worki z suszonym mięsem i rozpocząłem karmienie psów.

Ciągle czekałem, że mój służący przedstawi mi gospodynię, ale on nie czynił tego.

Słyszałem jak go spytała:

— Nie myślę się chyba, pan je-steś Mac Fane'em? Poznaję pana. Ostatnio widzieliśmy się na pokładzie parowca, nieprawda?

Ale nagle przerwała sobie i wi-działem jak w oczach jej powstał wyraz grozy, jakgdyby widziała jakąś straszną wizję. Lon, którego nie miałem za zbyt czulego człowieka, począł wykazywać pe-wne wzruszenie. Twarz jego zbladła, ale odpowiedział z udaną we-sołością:

— Ależ nie, nie. To było w Dawson w dzień jubileuszu angielskiej królowej, czy też w dzień jej urodzin. Tego dnia były wy-sięgi i ognie sztuczne. Niech pani sobie dobrze przypomni.

Z oczu kobiety znikła groza, a usta jej mówiły z uśmiechem:

— Przypominam sobie teraz! A pan wygrał wyścigi na łódkach.

Mac Fane mówił dalej z tym sa-mym uśmiechem:

— A jak się powodzi Dave'o-wi? Chyba znalazł już jaką dobrą żylę?

Ona się uśmiechnęła i pokiwała głową. A potem, gdy zauważyła, że rozwijałem worek z pleda-mi, wskazała mi ręką na róg izby, gdzie mogłem przygotować sobie posiłek.

— Myślałam — rzekła w zamy-słeniu — że to Dave, gdy usłysza-łam wasze psy.

Położyłem się na pledach i za-paliłem fajkę, rozmyślając nad zasłyszana rozmową. Była w tem jakaś tajemnica. Ale jaka?

Skądże mogłem wiedzieć? Dla-czego, do licha, Lon nie zawiado-mił mnie, że znajdziemy tu tę chatę?

Leżałem spokojnie i z pod oka obserwowałem kobietę. Im bar-dziej się jej przyglądałem tem mniej mogłem od niej oderwać o-czu

Twarz jej była piękna, bardzo piękna. Oświecała ją jakaś dziwna zorza zamyślenia i dobroci.

Nagle kobieta zwróciła się do mnie i spytała:

— Czy widział pan, ostatnio Dave'a?

Byłbym napewno odpowiedział:

— Kto to jest Dave?

Ale usłyszałem jak Mac Fane począł nagle głośno kasnąć.

Czy był to skutek gryzącego dymu, czy też było to ostrzeże-nie?

Odrzekłem więc:

— Nie, nie widziałem go, gdyż wracam z zupełnie innych stron! Ale ona przerwała mi:

— Czy pan nie wie kim jest Dave, wielki Dave Walsh?

Znów się tłumaczyłem:

— Nie pochodzę z tych stron i nie mogę znać tych ludzi!

Kobieta zwróciła się w stronę Lona i rzekła:

— Niech pan mu objaśni kim jest Dave!

Lon, zapytany tak niespodzia-nie, rozpoczął jakieś długie wyjaśnienie, które wydało mi się bar-dzo nienaturalnym i naciąganie-m. A prztem ton jego i wyraz twarzy mówiły wyraźnie, że po-za tem wszystkim ukryta jest ja-kaś tajemnica i że Mac Fane nie jest szczery.

(D. c. a.).